

COMA - "Czerwony Album"

dzisiaj, 11:09
Lesław Dutkowski / Onet.

onet.



Coma - "Czerwony Album"

Mniej "werbalnej masturbacji" Piotra Roguckiego. Bez rozbuchanej formy. Jest krócej, rockowo-metalowo, mniej wydumane, trochę weselej. Piąte wydawnictwo Comy może rozczarować część starych fanów. Ale może też zjednać kapeli niemałą grupę nowych.

O niemającej tytułu płycie mówi się i pisze per "czerwony album" z uwagi na obraną kolorystykę oprawy graficznej. Pierwsze skojarzenie? "Czarny album" wiadomego zespołu z Kalifornii. I nie jest to bynajmniej konotacja pozbawiona podstaw! Oczywiście nie chodzi o przełomowość dzieła łodzian, bo o takiej nie ma mowy. Jednak w paru mocniejszych momentach muzyka Comy może przypominać dokonania Metalliki ("Deszczowa piosenka"). Aczkolwiek dużo częściej słychać echa Rage Against The Machine, a brzmienie gitar w paru numerach (np. "La mala educacion") kojarzy się z tym, które ustawia sobie Tom Morello. W kilku fragmentach wyłania się fascynacja tym, co robią tuzy grania progmetalowego i progresywno-rockowego (świetny "ORh+", "Los cebula i krokodylę łyzy").

Są też dość radosne, krótkie rockowe piosenki, które specjalnością Comy raczej nie są. Jednakże muzycy potrafią je pisać i wcale nieźle im to wychodzi, czego dowodem chociażby promująca materiał, zalatująca brytyjskim rockiem sielska "Na pół". Coma może śpiewać o kwestiach górnołotnych, lecz muzycy zespołu to z natury rockandrollowcy i pokazują to najdobitniej w karierze. Nie jestem jednak pewny, czy fani, którzy pokochali łodzian za to, że ich muzyka od mainstreamu odstaje niemal jak gospodarka Korei Północnej od wolnego rynku, bezproblemowo zaakceptują tę zwiększoną zwięzłość. Im marzy się raczej wariacja na dwójkę lub "Hipetrofię". Osobiście będę forsował opinię, że dobrego rocka z wykopem zmieszanego z metalem nie ma u nas w nadmiarze, a takie granie, na poziomie ponadprzeciętnym, krążek wypełnia. Wiem, że jest na nie zapotrzebowanie wśród odbiorców. Dlatego uważam, że Coma dzięki płycie raczej może więcej fanów zyskać niż stracić

Wspomnianą "Hipetrofią" Coma pokazała, że wie, co to koncept i umie przedstawić go poprzez kolorową, gigantyczną formę. Na "czerwonej..." (tak, pamiętam, że był jeszcze "Excess") forma jest skromniejsza, nieprzerośnięta. To najkrótsze wydawnictwo w historii kapeli. Ale "najkrócej" oznacza 55 minut muzyki, z wyraźną przewagą soczystego uderzenia nad balladowym liryzmem, choć i ten odnajdziemy. Emocji jak zwykle u łodzian nie brakuje, a za ich wykreowanie w dużej mierze odpowiada Rogucki, który teksty (czy są pretensjonalne, pseudopoetyckie, jak mówią niektórzy, czy nie, niech każdy odpowie sobie sam) interpretować potrafi świetnie. Płyta brzmi świetnie, ale nie ma na niej piosenek o sile rażenia "Spadam", "Leszka Żukowskiego", "Zbyszka" albo epickiej "Ciszy i ognia". Nie jest to materiał równy, rozpalający nas w stałych proporcjach od pierwszej do ostatniej minuty. Zdarza nam się marznąć z nudów. Generalnie mamy niezłą mozaikę, która prawdopodobnie doskonale sprawdzi się na żywo, a wtedy Coma pokazuje klasę największą.